

O cyganach i katastrofistach (dokończenie)

„Henio, Wacek, Rzeczyca...”

„Ciężkie myśli człowieka - pisał Czechowicz do Piętaka w lutym 1936-go - który chce być zdobywcą, a za teren działania ma bagno, mieszają się z błahymi rozmówkami, w których rolę partnerów grają Henio, Wacek, Rzeczyca, pan Włodzimierz i Samuel...”¹. Henio - to Domiński, Wacek - Mrozowski, pan Włodzimierz - chyba jeden z braci Stępniewskich, Samuel - to malarz Miklaszewski, bliski Czechowiczowi jeszcze z Lublina. Uderza lekceważący ton, w jakim Czechowicz pisze o swoim otoczeniu. To nie poza: istotnie czuł się niezmiernie od nich wszystkich wyższy i w chwilach szczerości traktował z góry. Jaką rolę odegrali ci partnerzy-statyści w owym - przyjmując umowne określenie - „kręgu czechowiczowskim”?

Zacznę od Domińskiego, choćby dlatego, że Czechowicz lubił go najbardziej i pozwalał nawet na „obrazę majestatu”, jako „kochanemu kłapaczowi”. Domiński był kostyczny, przekorny, na pozór oschły, w głębi, gdzieś pod siódmą skórą, mocno sentymentalny, chociaż krył się z tym starannie, tak że niejednego wprowadzał w błąd. Miał manię obalania wszystkich autorytetów i nieraz potrafił być wręcz nieznośny. Zaczepny, często prowokował scysje i awantury, przeważnie z żalonym skutkiem, bo chociaż bardzo odważny, był słabeuszem i nie umiał się bić. Ode mnie oberwał kilkakrotnie, ale też nie raz i nie dwa bywałem przez niego wrabiany w grubsze historie i musiałem nadstawiać karku z najgłupszych powodów, byle ratować „kłapacza” z ciężkich oparów.

Gdy miałem już dość jego psych figli, doszło między nami do zerwania (w lecie 1938). Wiedziałem, że mocno to przebolewał, ale wygórowana ambicja długo nie pozwalała mu uczynić gestu pojednania, tym bardziej, że przy różnych okazjach przejeżdżałem się po nim w druku bez litości. Byłem wtedy w wojnie podjazdowej z całą „czechowiczowską” grupą, mimo, że przy przypadkowych spotkaniach zachowywaliśmy pozory poprawności. Terenem moich wypadów był dwutygodnik „Myśl Polska”, gdzie zadomowiłem się na dobre, oraz kolumna literacka „Kuriera Porannego”, redagowana - oficjalnie przez Jerzego Hulewicza, faktycznie przez Jerzego Zagórskiego.

Strona atakowana wpadła w zakłopotanie. Przypomnieć trzeba, że z młodych, debiutujących na progu lat trzydziestych, Czechowicz, po odejściu Czuchnowskiego ku problematyce społeczno-politycznej, największe nadzieje wiązał właśnie z Zagórskim. Sam siebie mianował „Wielkim Xięciem Litewskim” (tak - przez wielkie X), w ciszy serca dopowiadając „król polski”, zaś Zagórskiego nazywał „infantem”, e r g o następcą na tronie poetyckim. Z trzech debiutów

1 Cytuję za Wiesławem Szymańskim, „Ballady przed burzą”, str. 173.

żagarystowskich na pierwszym miejscu stawiał „Ostrze mostu”. Spierałem się z nim, wysuwając „O czasie zastygłym” Miłosza. Ale Czechowicz trwał przy swoim: pierwszy - Zagórski, drugi - Miłosz, a gdzieś w dali Bujnicki. Rymkiewicz jeszcze się wtedy nie objawił, Putrament w ogóle się nie liczył.

No, więc co? Łobodowski ośmiela się występować przeciw „Wielkiemu Xięciu” i jego dworowi, a ukochany „infant” puszcza to do druku, zasłaniając się Hulewiczem? Zbrodnia przeciw majestatowi, której na domiar złego nie można było ukarać bo jak i gdzie?! „Pióro”, pomyślane jako miesięcznik, miało na skutek wydawniczego kunktatorstwa Mariana Sztajnsbera, wielkie szanse zamienienia się na rocznik: ukazał się tylko pierwszy numer, drugi, już wydrukowany, zginął w pożarach wrześniowej Warszawy.

Wykluwały się wówczas i nawiązywały różne inicjatywy, rodziły interesujące indywidualności twórcze. Myślę z głębokim żalem o takim Józefie Stachowskim, który wojnę przeżył, a umarł wkrótce po jej zakończeniu; katastrofa przyszła w chwili najtrudniejszej dla każdego poety, gdy doskonały debiut zostaje poddany próbie confirmacji i ustalenia dalszej drogi rozwojowej. Trzeba też wymienić Mariana Niżyńskiego, którego wszechstronny², poetycko rewelacyjny talent zapowiadał wielkie rzeczy. Podobno zginął w absurdalny sposób, przejechany przez niemiecką ciężarówkę. Inna rzecz, że w warunkach „budującego się socjalizmu” Niżyński, skrajny przykład neurotycznej mimozy, nie miałby nic do zrobienia. Głucho o nim we wspomnieniach i omówieniach, a przecież, obok Krzysztofa Baczyńskiego, największa to strata, jaką poezja polska poniosła w latach wojennych. Gdyby przeżył, a ewentualnie udało mu się wydostać na Zachód i tam jako tako urządzić, mielibyśmy dziś na emigracji jeszcze jednego poetę dużej miary.

Na Domińskim kończy się lista lokatorów „wspólnego pokoju” w pierwszym wydaniu, jeśli nie liczyć Wacława Mrozowskiego. Ten zjawił się przy końcu lata 1934-go, oczywiście bez grosza przy duszy i z bardzo mglistym pojęciem co do dalszej przyszłości. Po ukończeniu seminarium mógł bez trudu uzyskać posadę nauczyciela, ale praca gdzieś na zapadłej wsi zupełnie mu nie odpowiadała. Zajął się nim Czechowicz, starając się namówić na pisanie do wydawnictw ZNP. Na początek trzeba było zdobyć dla przybysza nieco gotówki. Wynikła z tego dość zabawna historia.

Czechowicz lubił mistyfikacje, zresztą przeważnie nieszkodliwe. Wiesław Szymański, cytując poetów, którzy drukowali w kolumnie poetyckiej „Zetu”, wymienia Henryka Zasławskiego. Otóż Zasławski w ogóle nie istniał. Był to jeden z licznych pseudonimów Czechowicza. Ilekroć napisał wiersz, we własnym przekonaniu niezbyt udany, rzecz szła do druku pod nazwiskiem Zasławskiego. Ale tym razem zdarzyła się wyjątkowa okazja ukrycia się nie za „martwą duszą”, lecz za żywym pseudonimem.

Jako redaktor związkowego „Miesięcznika Literatury i Sztuki”, Czechowicz nie chciał drukować zbyt wiele, by mu nie zarzucono, że nadużywa swego stanowiska. Mając gotowy artykuł, zaproponował Mrozowskiemu jego podpisanie. Tekst Czechowicza, nazwisko Mrozowskiego,

2 Był również wcale tegim grafikiem i nienajgorszym kompozytorem.

honorarium również dla niego. Przybysz z Chełmna zgodził się z radością i z miejsca zainkasował kilkadziesiąt złotych. Nie pamiętam dokładnie treści tego artykułu, w każdym razie chodziło o jakieś rozważania muzykologiczne, gęsto przetkane wycieczkami w dziedzinę filozofii. Wśród niewtajemniczonych w mistyfikację „debiut” ten dał Mrozowskiemu kilkunastodniowy koteryjny rozgłos.

Zwłaszcza zainteresował się rzekomym autorem Bolesław Miciński, często kontaktujący się z Czechowiczem i jego otoczeniem. Filozof i meloman, nie mógł nie zwrócić uwagi na młodego seminarzystę, który od razu pierwszym wystąpieniem wykazał duże odczytanie i znajomość zarówno muzyki jak filozofii. Doszło więc do spotkania i rozmowy, w obecności Czechowicza i jeszcze kilku osób. Byłem i ja. Nie trudno domyśleć się, jakie męki przechodził Mrozowski. Już po kilku minutach wyszło na jaw, że nie ma pojęcia ani o poruszanej problematyce, ani o kompozytorach i filozofach cytowanych w artykule. Delikwent bladł i czerwieniał się Miciński patrzył po nas z rosnącym zdumieniem, zaś Czechowicz pykał z fajeczki i sypał do mnie, jako do wprowadzonego w sekret, perskie oko, dusząc się od powstrzymywanego śmiechu. Wreszcie musiał przyznać się do mistyfikacji, po czym wszyscy zgodnie uznali, że wymyślona przeze mnie nazwa „poeta z Cycowa” pasuje do Mrozowskiego jak ulał.

Była wtedy moda na pisanie wierszy o matce. Zawinił w równej mierze wpływ Jesienina („Żyjesz jeszcze, moja starowinko?”), jak i Czechowicz, autor wielu pięknych liryk na ten temat. Oczywiście, Mrozowski nie mógł pozostać w tyle i wydrukował wiersz, w którym melancholijnie deklamował, że matka gdzieś daleko martwi się i płacze, a syn w nieprzyjaznej stolicy spędza noc nad Kantem i Hebblem. Dałem w „Dźwigarach” zgryźliwą notatkę, że czas rzucić k a n t y i zająć się jakąś uczciwą pracą, choćby przy h e b l u. Być może, obsmarowując mnie w swojej „Cyganerii”, Mrozowski chciał wziąć spóźnioną zemstę za tamto. A że zemsta poszła idealnie po linii „zamówienia społecznego”, tym lepiej.

Mrozowski niemal wszystko zawdzięczał Czechowiczowi. Dzięki jego protekcji otrzymał stałą, całkiem dobrze płatną posadę w Centrali Wydawnictw Związku Nauczycieli. Stracił ją, gdy po opisanych już awanturach z „Płomyczkiem”, Machnowski musiał ustąpić. A że Czechowicz odszedł jeszcze wcześniej, zabrakło dwóch głównych protektorów. W gruncie rzeczy posada Mrozowskiego wyglądała raczej na przedwczesną synekurkę, bo zajęcia jego były dość fikcyjne. Czechowicz lubił trzymać przy sobie kogoś zaufanego do wykonywania różnych, mniej czy bardziej delikatnych funkcji. Domiński na przykład, którego z Czechowiczem łączyło bez porównania więcej, nie nadawał się do tego: miał za dużo godności osobistej. Mrozowski był elastyczniejszy; podobnie jak w czasach „wspólnego pokoju” posyłało się go po kielbasę czy piwo, Czechowicz w razie potrzeby dawał mu liściki do któregoś ze „stefanków”. Rola takiego postillon d'amour nie psuła „poecie z Cycowa” radosnego światopoczucia.

Niewiele później po Mrozowskim objawił się Artur Rzeczyca. Kiedy go poznałem, byłem pod lekkim gazem i zacząłem wypytywać, czy pochodzi z Białorusi (skojarzyło mi się z miasteczkiem Rzeczyca w Homelszczyźnie). Aż Domiński krzyknął: „Nie męcz Buksbauma! Abramek pochodzi

ze świętej Galilei. Jaka tam Białoruś!” W wielu wspomnieniach „zaczarowany Arturek” nabrał eterycznych cech jegomościa nie z tego świata. „Myślę, że zbrodniarz hitlerowski, który go zabił, zabił dziecko”. „Miły, delikatnie i cicho mówiący jakąś ultrastarą, literaturoznawczą mową...” „Z okrągłą, rumianą buzią, układny, w granatowym ubranku...” „Mały, chudziutki Żyd w okularach... Lubiliśmy go bardzo, mimo że był często uciążliwy...”

Oto cztery świadectwa współczesnych. Sporo w tym prawdy, ale powierzchownej. „Dziecko” - może, ale chyba krewnie psotnego Dyzia. Żył przez te pięć warszawskich lat, aż do wojny, jak ten ptak niebieski, nie orząc, nie siejąc. Bo jednak, zarabiając z rzadka jakieś iluzoryczne sumy, potrafił objąć się po Warszawie przez tyle czasu i był jak te automatyczne zabawki, zachwalane przez ulicznych sprzedawców: „Nie je, nie pije, a chodzi i żyje!” Nigdy nie mogłem zorientować się, czy siedzi w nim fenomenalny megaloman, czy wyrachowany kanciarz. Może jedno i drugie, w dziwacznej, nie kontrolowanej przez samego właściciela proporcji. Zestawiał siebie z Joyce'm, przekładał, zresztą nieźle, Ungarettiego, pisał nijakie, pozbawione indywidualności wiersze, które sam określał jako genialne.

Czasem to i owo mu się udawało. Niewątpliwie był zakochany w poezji. Może w innych okolicznościach byłby z niego niezły krytyk. W mojej pamięci pozostał jako bezbronny wróbel, trzepocący skrzydłami na pograniczu nędzy i megalomanii. A wiersze? Więc oto taki utwór: „Światło śpiewa: - Przyjdź Królestwo Twoje!” Koniec. Ktoś usiłował go przekonywać, że owszem, zdanie ładne, mogłoby stać się punktem wyjścia do poematu, albo zakończeniem, ale Arturek z miłym uśmiechem wyższości zapewniał, że w tych pięciu słowach zawarta jest cała metafizyka poetycka. Gorzej było gdy pisał: „Wyprowadź swe serce na spacer”, albo wypełniał butelkę „pianiem koguta”. Niepoprawny Domiński obiecywał z poważną miną, że kupi mu na imieniny obrożę i kaganiec („żeby, jak wyprowadzisz serce na spacer, hycel nie złapał”).

Aż za układny i słodko-grzeczny w stosunku do pisarzy ustabilizowanych i wpływowych, Rzeczyca umiał zachować się opryskliwie i niechętnie wobec początkujących, takich jak on sam, traktując ich z pogardliwą wyższością. Nie znał umiaru przy - już nie wyprasaniu - wymuszaniu pożyczek, jeśli znalazł się w sytuacji wyjątkowo ciężkiej. Normalnie działał według dobrze opracowanego rozdzielnika; zasada polegała na tym, żeby nie zwracać się do tych samych osób za często: tego można zaatakować raz na dwa tygodnie, tamtego - raz na miesiąc. Jednych oceniał na złoty-dwa, innych na piątkę, albo nawet na dychę. Wyżej aspiracje Rzeczycy sięgały bardzo rzadko i trzeba przyznać, że węch na możliwości pożyczkowe miał mocno wyczulony. Ale niejednokrotnie najlepiej opracowane plany i rachuby brały w łeb.

Któregoś wieczoru Rzeczyca zjawia się u Jasińskich. Źle wycelował, bo było już po kolacji. Prosi o kilka złotych. Jasiński mówi, że jest bez forsy, weźmie zaliczkę dopiero jutro. Arturek zwraca się do Wandy³. „Niestety, mam tylko dwa złote...” „Dwa złote - odpowiada słodko Arturek -

3 Wanda Karczewska drukowała ówczesnie słabe wiersze o tematyce przeważnie marynistycznej. W powojennych latach dojrzała jako autorka dobrej prozy. Zbigniew Jasiński również wykazywał głównie zainteresowanie marynistyczne. Odwiedził nas parę razy na Dobrej, potem spotkaliśmy się dorywczo w Lublinie. Po przejściu wcale,

w zupełności mi wystarczą”. „Ależ ja nie mam więcej - to na jutrzejsze śniadanie i na tramwaj dla nas obojga!” „Tak - stwierdza rzeczowo Rzeczyca - ale ja nie jadłem obiadu i nie mogę obejść się bez kolacji... Do pracy macie niedaleko, możecie pójść na piechotę”. Piękna Wanda uniosła się gniewem, wyjęła dwu złotówkę z portmonetki i cisnęła nią w natręta. Arturek podniósł monetę z niezmaconym spokojem, podziękował, cały w ukłonach i uśmiechach, po czym przezornie ulotnił się, nie czekając na dalsze komentarze.

Nie wydał żadnego zbioru, pozostało po nim kilkanaście wierszy, rozrzuconych po czasopiśmie. Źle pokierowana inteligencja, estetyczny szczebiot, wieczne koczowanie na marginesach życia, dumnie podkreślana deklasacja ze świadomego wyboru, snobistyczne zgrywanie się na homoseksualizm, chociaż nie miał tym kierunku żadnych predylekcji. „Dostawcą wesołości” i „niepoważnym człowiekiem” nazwał go Marian Jachimowicz w swoich wspomnieniach literackich. Istotnie, Rzeczycę trudno było brać na poważnie. Innym pomagano w imię nadziei w ich przyszłość, Arturkowi chyba tylko z dość pogardliwej litości.

Większość z młodych, którzy mieli jakikolwiek związek ze „wspólnym pokojem”, albo „kręgiem czechowiczowskim”, zginęła z rąk hitlerowców. Nie zawsze można było stwierdzić w jakich okolicznościach. O Domińskim na przykład jedni twierdzą, że dostał kulę przy przechodzeniu granicy na Węgry, inni że rozstrzelano go w Palmirach. Rzeczyca został zamordowany w Drohobyczu, Ludwik Fryde gdzieś na kresowej wsi, gdzie próbował ukrywać się. Na tę listę trzeba wciągnąć również Władysława Podstawkę, który zginął w Oświęcimiu, podobno na szubienicy (rok 1942).

Debiutował tomem wierszy „Stopy w niewoli”, dopiero w 1936. Drukował jednak bardzo dużo w czasopiśmie. Gdy w roku 1932 powstał w Lublinie dziennik „Nowa Ziemia Lubelska”⁴, Podstawka ogłaszał na jego łamach po trzy, cztery wiersze tygodniowo. Pisał wtedy tradycyjnie, za dużo i za łatwo. Z biegiem czasu jednak jego obrazowanie stawało się śmielsze i bardziej oryginalne, pogłębiał się ostry pesymizm i przecucie nadchodzącej katastrofy. Wacław Gralewski, niegdyś poeta i krytyk „Reflektora”, schlaścił Podstawkę bezlitośnie za zbytne poddawanie się „wplywom Łobodowskiego”. Były niewątpliwe, zwłaszcza w pierwszych latach, ale nie podejmowałbym się określić, gdzie kończyły się te wpływy, a gdzie zaczynała się liryczna koincydencja.

Dopóki mieszkał w Lublinie, sytuację miał dość ustabilizowaną. Po przeniesieniu się do Warszawy chwycił się różnych zajęć, pracował nawet przez jakiś czas w knajpie przy ulicy Koziej stał się stuprocentowym „cyganem” właśnie wtedy, gdy inni zaczynali się statkować. Był to duży, żywiołowy talent, poddany rabunkowej gospodarce. Poszedł do Oświęcimia, nie mając jeszcze trzydziestu lat. Trudno powiedzieć, czy rozwinąłby się i jak, gdyby przeżył obóz koncentracyjny.

nawet jak na Polaka, urozmaiconej epopeji wojennej, przeniósł się na stałe do Australii. Jeśli się nie mylę, początki działalności literackiej Jasińskiego związane były z Poznaniem i bodaj z grupą poetycką „Prom”.

4 „Nowa Ziemia” cieszyła się krótkotrwałym, ale bujnym i skandalicznym żywotem. Wydawca Zajączkowski, major w stanie spoczynku, nadał pismu kierunek legionowo-demokratyczny, o ambicjach zreformowania obozu rządzącego, czyli - jak mawiano w Lublinie z przekąsem - „usanwania sanacji”.

W przeciwieństwie do wielu innych „cyganów” miał zdrowy chłopski sens i ani odrobiny hysterii, snobizmu, przerafinowania.

Wytknąłem, pisząc o Mrozowskim, modę seryjnego płodzenia wierszy „o matce”. Trzeba przecież uczynić niejedyn wyjątek dla tych, którym nie chodziło o modny temat, lecz o potrzebę uczuciową. Między nimi - także dla Podstawki. Oto zakończenie jego wiersza „Do matki”, powstałego bodaj w okresie, gdy młody poeta znalazł się na bruku warszawskim i nie bardzo wiedział co z sobą począć. Sądzę, że autentyczność przeżycia w tym lirycznym drobiazgu nie podlega wątpliwości.

Marzyłaś: syn daleko i wysoko - biały...
O, matko, jakże wzlecieć, kiedy serce cięży!
Zostanę już do końca w gorzkich dni uprzęży.
Plakały twoje oczy i będą plakały.

Wąwozem iść mi głuchem, ponurym parowem,
i śpiewać, wołać pieśnią żelazem zakrzepłą.
Nie żałuj. Połóż ręce na płonąca głowę.
Na chłody, zawieruchy chcę mieć rąk twych ciepło.

W przeczuciu katastrofy

„Gna nas wielki niepokój naszego czasu, wahający się między próbami naukowego ujmowania schematu człowieka, dążeniem do znalezienia praw, rządzących żywotami całych narodów i ras, a jednocześnie wspierający poczynania możliwych tego świata gusłami astrologii. Dyktatorzy wierzą w znaki zodiaku, tłumy nie mają czasu ani myśleć, ani wierzyć, żyją i nie mają bóstwa ponad życie. „Mienia się być mędrkami, a to tylko szła ich ogarnął” - powiada Pismo Święte. W tym straszliwym zamęcie, w którym jedyną troską społeczeństw jest, czy wojna będzie dziś, czy jutro, w tej epoce nie do opisanego, wieszczonej przez średniowieczne prorocтва, obliczające koniec świata na rok 1944, gdzie znaleźć grunt pod stopami? Czego mają dotknąć upadający w nawałnicy, by odżyć, by zaczerpnąć siły nowej?”

Te słowa wyszły spod pióra Czechowicza na niewiele miesięcy przed nadejściem wrześniowej burzy, w której on sam miał swoje trzydziestosześcioletnie życie utracić. W tych słowach odnajdujemy ten sam podskórny nurt, który głucho szumiał w utworach najwybitniejszych przedstawicieli młodego pokolenia. Przeczucie nieuchronnie zbliżającej się katastrofy, u jednych zamącone, o zatartych konturach, u innych bardziej wyraziste, rzucane na konkretne tło historyczne. Wtedy też, gdzieś w połowie laty trzydziestych, ukuto terminy - „katastrofizm”, „katastrofiści”.

Twórczość Czechowicza może najmniej odpowiadała temu pojęciu, gdyż zbliżający się kataklizm przełamywał się w jego wizji zbyt osobiście, po prostu łączył się z dawną, a pogłębiającą

się z czasem obsesją śmierci. Najpełniej „katastrofizm” zaznaczył się u poetów wileńskich i to od pierwszych ich wystąpień. Ponieważ przez kilka lat występowali zespołowo, utrwaliło się w krytyce powojennej przekonanie, że właśnie tamtędy przebiegał główny nurt. Zwarcie maszerująca drużyna zawsze robi większe wrażenie, niż liczniejszy lecz bardziej rozpiechły tłum indywidualnych wolontariuszy.

Akcenty katastroficzne były widoczne już w najwcześniejszych młodzieńczych wierszach Miłosza, Zagórskiego, Bujnickiego. Łączył się z tym „niepokojem naszego czasu” ostry protest przeciw rzeczywistości społeczno-politycznej. W pierwszym okresie, to znaczy do połowy lat trzydziestych, wszyscy katastrofiści radykalizowali, z większym czy mniejszym nasileniem, zanim każdy poszedł własną, indywidualną drogą, Jerzy Zagórski na przykład - ku katolicyzmowi.

W roku 1935 ukazały się dwa tomy wierszy, które nieco późniejsza krytyka uznała za najbardziej reprezentacyjne książki „katastroficzne”: „Przyjście wroga” Zagórskiego i „Rozmowa z ojczyzną” Łobodowskiego. „Przyjście wroga” to poemat, ale ujęty bardzo luźnie, żeby nie powiedzieć - kapryśnie, przeładowany wzburzonymi wizjami, miejscami surrealistycznymi, kiedy indziej nurzającymi się w groźnej eschatologii. Nie brakuje w nich poetyckich nieporozumień, a nawet niezamierzonej groteski, jak owe: „Rzeźnik w Otwocku rąbał świnie, zgrabnie siekierą rąbał w pół...”⁵ - ale są także fragmenty o niezwyklej sile wyrazu i czystości lirycznej.

Nie chciałbym narazić się na zarzut nieskromności, muszę jednak napisać i o sobie. Wymieniłem obok „Przyjścia wroga” moją „Rozmowę z ojczyzną”. W półtora roku później wyszedł tom „Demonom nocy”, słabszy zapewne poetycko, ale również utrzymany w tonie „katastroficznym”. Podkreślali ten charakter tacy krytycy, jak Tymon Terlecki i Kazimierz Wyka (obydwaj w „Tygodniku Ilustrowanym” - 1937), Waław Kubacki w „Gazecie Polskiej”), wcześniej jeszcze Władysław Sebyła (w „Pionie”). Nawet odezwał się Ostap Ortwin, rzadko schodzący ze swoich olimpijskich wyżyn ku młodej poezji. Wymieniam recenzje najważniejsze, które najbardziej utkwily mi w pamięci; było ich znacznie więcej. Artykuł Terleckiego, w którym utrzymywał, że gdyby Cezary Baryka był poetą, pisałby właśnie takie wiersze, sprawił mi wówczas największą satysfakcję.

To bardzo żenujące upominać się samemu o należną pozycję, cóż jednak poradzić, jeśli w kraju jestem na indeksie, jeśli potężna rozmiarami antologia Matuszewskiego i Pollaka, uwzględniająca nie tylko poetów drugo- i trzeciorzędnych, ale i zwykłych grafomanów, nie umieściła mnie nawet w spisie pominiętych, choć uwzględnionych przy dokonywaniu selekcji. Obok mnie identycznego zaszczytu dostąpił Marian Hemar. Posmak jeszcze większego skandalu miało pominięcie Hemara w bardzo obszernej antologii satyry i fraszki międzywojnia. Ktoś, z lekka zawstydzony, wspominał o tym w krakowskim „Życiu Literackim”, dodając zaraz skwapliwie, że banicja ta jest o tyle usprawiedliwiona, iż wynikała ze względów „polityczno-pedagogicznych”. Już to na brak genialnych pedagogów komuniści nie mogą się skarżyć!

5 Cytuję z pamięci więc może niezbyt dokładnie.

Lojalnie przyznaję, że przemilczanie nie jest absolutne, owszem, od czasu do czasu pada i moje nazwisko, prawie zawsze, gdy zdarza się okazja, aby napisać o mnie coś nieprzyjemnego. A już największą wdzięczność jestem winien „Wydawnictwu Lubelskiemu”. We wspomnieniach Mrozowskiego (cytowana już „Cyganeria”) i Wacława Gralewskiego wypadłem wielce malowniczo. Wystarczy zacytować choćby taki passus: „Tak brzydkiej i odrażającej twarzy jeszcze nie widziałem. Miała coś z małpy i trochę z człowieka...” Nie wiem czy z tymi dwoma panami Wacławami spotkam się jeszcze kiedykolwiek, w każdym razie bardzo bym się na takie spotkanie pisał i cieszył. Wiem, że wypadłoby bardzo zabawnie.

Ale i teraz nie brak wesołej zabawy. Czytam w „Twórczości” (kwiecień 1964) wywiad z Piętakiem, podanym do druku już po jego śmierci przez Jana Śpiewaka. „Ustalmy - mówi Śpiewak - gdzie mieszkałeś w 1934 roku”. „Na Dobrej - pada odpowiedź - razem z Domińskim, Józkiem, Bronisławem Michalskim”. Cóż to za tajemniczy Józek? Czy przypadkiem nie Łobodowski? A więc jednych wymienia się z nazwiska, mnie - tylko z imienia. Nazwisko - trefne.

Albo na przykład, we fragmencie wspomnień Piętaka (też w „Twórczości”) występuję w pewnym miejscu pod imieniem i nazwiskiem; w nieco późniejszym wydaniu książkowym tych wspomnień już zamieniam się w „poetę J.” Otwieram w parę dni później numer innego czasopisma, trafiam na przekłady z Borysa Pasternaka. Rzucam okiem - cóż u diabła?! - toż to moje! Przedruk z emigracyjnego wydania polskiego przekładu „Doktora Żiwago”. Przewracam kartki w poszukiwaniu tłumacza, jest! - „Z rosyjskiego przełożył J.Ł.” No, jakże się tu nie cieszyć!

Pisarz emigracyjny jest w tej sytuacji całkowicie bezbronny. W roku 1935 wydałem tom przekładów z czterech poetów rosyjskich, pod tytułem „U przyjaciół” (Lermontow, Błok, Jesienin, Majakowski). W dwadzieścia kilka lat później Leopold Lewin wydaje tom przekładów, głównie z rosyjskiego, pod identycznym tytułem - „U przyjaciół”. Plagiat czy przypadek? O przypadku nie może być mowy, bo pamiętam doskonale, że w kilka tygodni po wyjściu tej książki była o niej mowa w mieszkaniu Stanisława Ryszarda Dobrowolskiego i między innymi brał w niej udział Lewin. Więc? Ale zaprotestować, czy choćby tylko poinformować czytelników o nadużyciu - nie podobna.

Jeszcze dowcipniej postąpił Seweryn Pollak. W obszernej antologii „poetów radzieckich” zamieścił w dziale rosyjskim parę moich starych przekładów z Błoka, gdzieniegdzie tylko zmieniając dwa, trzy słowa, czy jakiś rym. Nic bym przeciw temu nie miał, gdyby dołączył do tego króciutką informację: Przekłady Łobodowskiego, w przeróbce Pollaka. Ale nie. I znowu człowiek jest całkowicie bezradny.

Ale dość tej dygresji. Ad rem. Niektórzy przedwojenni pomniejszyciele młodej poezji machali lekceważąco rękami. Ot, ktoś zaczął zgrywać się na mętny kassandryczny ton i potoczyła się cała lawina. Że niby więcej w tym wzajemnego oddziaływania czy naśladowania, niż autentycznych przeżyć i przeczuc. Ważne jednak, że te przeczucia sprawdziły się, więc nie były pozą, a poza tym tendencje katastroficzne rodziły się w różnych, odległych od siebie ośrodkach zupełnie niezależnie,

zatem spontanicznie. Kontakt Lublina z Wilnem początkowo zupełnie nie istniał, więc nie mogło być oddziaływania. Gdy gdzieś koło roku 1933 powstały warunki ku temu, było za późno, bo najwybitniejsi poeci znad Wilii i znad Bystrzycy już się skryształizowali. Co do mnie, pierwsze wiersze „katastroficzne” pisałem przed rokiem 1931, gdy o istnieniu przyszłych żagarystów w ogóle nie wiedziałem.

*Ciemne są nasze mieszkania i nędzne są nasze losy -
głęboka i zapomniana, mchami zarosła studnia;
Wieczorem niebo u góry milczeniem gwiazd zaludnia
i twarda ręka rozpaczy chwyta za włosy.*

*I nie ma na nas wyroku, nie ma na nas osądu,
co by wiechurą się zwalił w tę przestrzeń pustą.
Jest śmierć wyciągająca rękę ku ustom, jest śmierć
sypiąca popiołem
na twarz konającym łądom.*

Tom „Rozmowa z Ojczyzną” (1935) przyniósł wiele wierszy, mówiących bezpośrednio o zbliżającej się katastrofie. „Nad wrzawą słów i pułków tupotem głuchym szeroka i krwawa łuna wyrasta...” „Starannie na zagładę sposobiony rocznik, mijamy zwiędłe, zamroczone pola”. A kiedy indziej jeszcze wyraźniej, jeszcze ostrzej, bezbłędnie nawet gdy chodzi o przybliżoną datę. Oto kilka urywków z wiersza „Samemu sobie”, pisanego na wiosnę 1934:

*...ciągnie nas ręka wiatru,
jak stryk zarzucony na gardziel
i mamy powagę skazańców w niepewnych ruchach.*

*Za kilka lat obwieszczą
przy trąb bębnow larum
śmierć nadchodzącą nad miasto z szrapneli wyciem,*

*w oczy struchlałych mieszczan
zguba zaświeci pożarem,
rozplakatuje wyrok na życie.*

*Znowu napłyną na mokry tor rezerwiści,
granaty wylecą
rywalizować z gwiazdami...*

Czyta się często, że „katastrofiści” miewali mroczne, niesprecyzowane przeczucia, że z trwogą, nieraz z przerażeniem zaglądali za ciemny próg, ale nie nosili w sobie „miary rzeczywistości”, która nadchodziła. Czyżby nie znał owej miary Czechowicz, gdy pisał - „zniża się wieczór świata tego,

nozdrza wietrzą czerwony udój...”? Wiesław Szymbański odmówił Czechowiczowi miana katastrofisty, pisząc, że w jego poezji „można wykazać tylko motywy katastroficzne”. Odróżnienie dość subtelne i chyba mało przydatne.

U Czechowicza, Miłosa, Zagórskiego, Rymkiewicza, u mnie wreszcie - nie brakowało utworów, które nie tylko przewidywały przyszłość, ale również z góry ją osądzały i potępiały. W jesieni 1938 napisałem wiersz pod tytułem „Noc nad Warszawą”, wydrukowany potem w „Skamandrze” (styczeń-marzec 1939). Myślę, że mam prawo, na poparcie uprzedniej opinii, do zacytowania najważniejszych fragmentów tego wiersza.

*W dobie kupców, szalbierzy, tchórzów i żołdaków,
fałszerzy słów dzwoniących i nikczemnych czynów,
gdy żaden dzień nie szczędzi złowróżebnych znaków,
dokąd iść, gdzie dorabiać się wieńca z wawrzynu
na skronie zniechęcone?*

*Pustka się rozwarła,
przerażeniem śmiertelnym napływa do gardła,
obsiała wszystkie drogi, zaludniła miasta.
I w tej pustce pieśń nasza nad mrokiem wyrasta,
niesłuchana, żałobna, widnieje z daleka,
jak dłoń zaszypanego w zawiei człowieka.*

*Biją pod senną ziemią niespokojne tętna,
mgły północnej jesieni kłębią się w kotlinie,
widzimy:
mroczny jeździec pośród nocy stąpa,
koń zziębnięty i czarny mętłą wodę pije,
ptactwo się budzi, trwożne wyciągając szyje,
ludzkie tupoty słyszeć, a ziemia nieskapa
na krew, nasienia czeka.
Tak północ się karmi
przezuciem nadchodzących pochodów i armii.*

*Nim w mroku się wypełnią słowa przepowiedni
i ziemia się odrodzi w krwawej zawierusze,
zdeptany burą luną ginie dzień powszedni,
łamią się ludzkie serca i truchleją dusze;
dźwięczą srebrniki brudne; nikczemnym sztandarom
próżno skrzydła przyprowadzasz, fanatyczna wiaro!
I echo bezsilności drży w powrotnych krokach
w życie, nieprzeżalone sumieniem ni wstydem,*

*i nad trumnami domów budzi się epoka
posepna jak ulica, którą wolno idę...*

U innych niezawsze ta pewność katastrofy i jej antycypowany osąd wypowiedziały się w sposób równie kategoriyczny i bezpośredni, najczęściej wyroczone słowa dudniły na samym dnie, pod zwałami metafor, rzucały chińskie cienie na ściany nie spodziewających się niczego domów, na drzewa „rozkwitłe w środku nocy”, na obłoki, już pocięte spojrzeniem lęku, zanim je pocięły światła wojennych reflektorów.

„Czy zdąży kręta rzeka z braterskiej krwi odrdzawieć, nim się kolumny stolic znów podźwigną nade mną...?” (Czechowicz). „Niczego nie rozstrzygną słupy płomienne w rzędzie, kładą się, jest kosa, będzie wicher...” (idem). „Na ziemi dym, umarłe chmury i nad rzekami z popiołu tlejące skrzydła i cofa się zatrute słońce, a potępienia brask wychodzi z mórz...” (Miłosz). „Tylko widzę trumny, trumny jak łodzie na wezbranej głębiny...” (Bujnicki). „Na kołowrocie historii strzepi się dziejów nić i trwożne serce spotyka ciemna, cmentarna noc...” (Domiński). „Przepada świat jedyny śpiewu i kochania przy wrotach przed płomieniem staje groźny anioł, wskazując mieczem drogę smutku i męczarni...” (Podstawka).

Ale także konkretniej i brutalniej, jak u Władysława Sebyły: „Rozgwar motorów z nieboskłonu i krok miarowy - wzywa łask Boga mocniejszych batalionów...” - jak w „Bajce o wojnie” Zagórskiego, w „Tropicielu” Rymkiewicza.

Jak widzimy, wcale szeroki wachlarz nazwisk, pochodzących z różnych środowisk poetyckich. Uderza brak na tej liście przedstawicieli awangardy krakowskiej, u której momenty katastroficzne występowały niezmiernie rzadko, albo wręcz świeciły nieobecnością. Peiper i Przyboś to przede wszystkim racjoniści, a wiemy przecież jak bardzo bezsilny okazał się racjonalizm wobec apokaliptycznej tragedii naszego czasu. Nic dziwnego, że jej nadejścia nie przeczuli.

Ignacy Fik, krakowski awangardysta drugiego, czy może nawet trzeciego rzutu, słaby poeta, ale interesujący krytyk, usiłujący zdobyć „pierwszej awangardy” ożenić z dialektyką marksistowską, na rok przed wojną ostro zaatakował „katastrofistów” (głównie Zagórskiego i Miłosza), przypisując im nawrót do romantyzmu i „grzech anielstwa”. Że niby zjawisko wojny widzą przede wszystkim w kategoriach eschatologicznych. Istotnie! Za to Fik ujrzał ją w kategoriach wyłącznie społeczno-politycznych. „Wojna - zapytywał drwiąco - kiedyż przestanie się nią u nas mydlić oczy? Jakież wartości ona zburzyła? Trzy potęgi zaborcze i wiarę w kapitalizm”.

Krakowski marksista nie dojrzał innych rzeczy, które zburzyła pierwsza wojna światowa, w całości lub częściowo, pozostawiając dokończenie dzieła zniszczenia swej następczyni: humanizmu, liberalizmu i wielu innych „naiwnych”izmów, odziedziczonych po wieku XIX-ym. Niestety, ów wiek przekazał nam w spadku jeszcze inne pozycje, których ciężar odczuwamy na własnej skórze po dziś dzień.

Tu pozorna dygresja - pozorna, gdyż „niejasnym przecuciom katastroficznym” dodaje

argument publicystyczny, odpuszczając jednocześnie „grzech anielstwa”, z którego tak bardzo natrząsał się Ignacy Fik. Mam na myśli polemikę Jerzego Zagórskiego, jednego z najbardziej eksponowanych „katastrofistów”, z Janem Parandowskim.

Parandowski ogłosił w „Wiadomościach Literackich” artykuł, zatytułowany bodajże „Pochwała XIX stulecia”⁶. Zestawiając minioną epokę (do roku 1914) z latami międzywojnia, autor podkreślał postępującą tolerancję i humanizm dziewiętnastowieczny i ubolewał, że nasze czasy odrzucają te wartości, rzucając się w objęcia szaleństw totalitarnych. Niewątpliwie Parandowski pragnął ostrzec przed pewnymi tendencjami nurtującymi ówczesną polską rzeczywistość, ale wypowiedź jego wypadła wielce melancholijnie i pesymistycznie, sprawiała wrażenie wieńca nieśmiertelników, złożonych na grobie niepowrotnej przeszłości.

Zagórski bardzo się tą elegijną apologią przejął, tym bardziej, że wysoko cenił i szanował pisarstwo Parandowskiego. Polemiczna odpowiedź, wydrukowana w „Kurierze Porannym” (znowu nie pamiętam w jesieni 1938 czy na wiosnę 1939), była w swej argumentacji dość nierówna. Główny tenor artykułu sprowadzał się do stwierdzenia, że ujemne zjawiska naszego czasu tkwiły w zarodku w wieku ubiegłym. Powierzchnia wyglądała łagodnie i zachęcająco, ale pod nią drażyły organizm Europy rozliczne choroby, których ostre objawy dały się odczuć dopiero teraz. Jakże zachwycać się przodkami, którzy pozostawili nam taki spadek! Raczej reagujemy jak w słynnej „Dumie” Lermontowa: „gorzkim szyderstwem oszukanego syna z rodzica, który z b a n k r u t o w a ł”.

W tym krytycyzmie Zagórski nie był odosobniony. Wcześniej jeszcze Jerzy Braun w „Zecie” wyprowadzał dwie „zarazy XX stulecia”, komunizm i faszyzm, ze źródeł dziewiętnastowiecznych, nazywając obydwa kierunki „straszными dziećmi Hegla”. Miał więc „katastrofizm” i swoje uzasadnienia racjonalistyczne wbrew temu, co krótkowzrocznie zarzucali mu przeciwnicy, z zacytowanym już Fikiem na czele.

Kazimierz Wyka, pisząc w „Twórczości” w rok po wojnie (maj 1946) o tomie Miłosza „Ocalenie” (weszły do niego także przedwojenne wiersze z „Trzech zim”), spróbował jednocześnie dać syntezę katastrofizmu i wystąpić w roli jego obrońcy. Udało mu się to połowicznie. Słusznie jednak zaprotestował przeciw prymitywnej interpretacji poezji katastroficznej jako „świadectwa bezsilnej rozpacz, jako ucieczki od historii i rozumu w eschatologię”⁷.

Wyka z pełną racją wskazał, że „element katastroficzny jest elementem o c z y s z c z a j ą c y m”. „Groza i katastrofa - pisał nieco dalej - spadająca na nieczysty świat w takich wizjach, czy apokalipsach jest zawsze aprobowana przez tego, kto wizję tworzy. Zanim nieczysty świat zginie rzeczywiście, najpierw in effigie jest niszczone przez nienawidzącą go,

6 Nie pamiętam dokładnie - „pochwała” czy „obrona”, co zresztą na jedno wychodzi.

7 Jaką tam „ucieczka od historii i rozumu”, skoro npr. autora wspomnień stać było na przewidzenie antypolskiego sojuszu hitlerowsko-sowieckiego już wczesną wiosną 1939-go roku, a więc na pięć miesięcy przed paktem Ribbentrop-Mołotow, vide skonfiskowany artykuł w „Wiadomościach Literackich”. A znowu autorem jedynego artykułu, w którym dokładnie został opisany przyszły przebieg kampanii wrześniowej, był K.W. Zawodziński, teoretyk wersyfikacji i krytyk poetycki. Prawda, jakie to zabawne?

a rozgorączkowaną wyobraźnię. Dzieje się to, by po zniszczeniu nastąpiło wyzwolenie i oczyszczenie. Jest to katastrofizm, żeby tak rzec, służebny".

Ale Wyka pisał cytowane słowa w warunkach powoli narastającego skrepowania, które rychło miało przerodzić się ordynarny przymus i terror administracyjny, więc nie obeszło się bez tegiej warząchwii marksistowskiego dziegciu. Marksiści za wszelką cenę szukali korzeni katastrofizmu w socjologii „Mit eschatologiczny - pisał w „Kuźnicy” S.A. Majewski, którego opinię Wyka przytacza w tejże recenzji - powstaje w środowisku społecznym, nie widzącym przed sobą przyszłości, to znaczy, w takich społeczeństwach, w których upadek klasy rządzącej jest równoznaczny z upadkiem państwa, tej najwyższej formy organizacyjnej społeczeństwa".

Po przyznaniu tej prymitywnie tandetnej formułce zasadniczej racji, Wyka popadł w równie zasadniczą sprzeczność. Tylko o jednym Miłoszu napisał, że niekiedy przejawia się w jego poezji poczucie katastrofy jako o c z y s z c z e n i a. Ale tylko „niekiedy” i w niewyraźnym kształcie. O innych twierdził kategorycznie, że wieszczą zagładę, ale jej nie udzielają moralnej i uczuciowej aprobaty. „Są w sieci przeczucia, ale przeczucie nie oczyszcza”. Wyka dodał, że tylko taka interpretacja „jest zgodna z tekstami poetów”.

Czyżby? A cóż znaczy wiersz „nim ziemia się odrodzi w krwawej zawierusze” z cytowanej powyżej „Nocy nad Warszawą”, albo czechowiczowskie, bardziej metaforyczne: „mówię wam... runą mury Jerycha...”? Najzupełniej jednoznaczny jest tekst Miłosza: „Po trzykroć muszą zwyciężyć kłamliwi, zanim się prawda wielka nie ożywi...”. Wyka go przytacza, ale u uważa za odstępstwo, nie za regułę. To opinia zbyt dowolna, aby mogła być prawdziwą.

A cóż z socjologią? Wysunięto argumenty: jeden gospodarczy, drugi - polityczny. Wielki kryzys gospodarczy lat 1929-34 i groźba naciągającego faszyzmu. Powiedzmy, że katastrofizm poetycki wykrystalizował się i okrzepł w latach, gdy wielki kryzys już się przesilał, zaś mroczne przeczucia nabierały jasności w ostatnich latach przed wojną, kiedy kraj zaczął szybko wydobywać się z gospodarczego marazmu. Na wykresie graficznym linie nie koincydują.

Skoro już wleźliśmy w socjologię, nie od rzeczy będzie przypomnieć, że niemal wszystkim „katastrofistom” powodziło się finansowo w tym ostatnim okresie dobrze, niektórym bardzo dobrze. Także ustabilizowali się społecznie. Jeżeli więc „byt określa świadomość”, katastroficzne nastawienia powinny były słabnąć. A tu akurat odwrotnie - wzrastały. Więc kto by zechciał upierać się przy sprawdzianach socjologicznych, musi zdobyć się na operowanie narzędziami bardziej precyzyjnymi.

Poeci owego pokolenia nie byli kanarkami ani słowikami. Czytali dzienniki, czujnie śledzili wydarzenia polityczne. „Oda na spadek funta” - taki tytuł w debiutanckim tomie młodego liryka musi zastanowić. Jednak wróżb i przeczuc nie można wmontować w żaden wehikuł ideologiczny. Kto tego próbował, boleśnie parzył sobie ręce. Marksista rozstrzyga takie sytuacje bez trudu: zdeklasowali się, więc nie poszli z mieszczańskim faszyzmem; nie stać ich było na właściwą krystalizację ideową, więc nie doszłusowali do proletariatu, świadomego właściwego kierunku

dziejów.

Tu i ówdzie czytam o podziale na „czarnych” i „czerwonych”. Na linii tego podziału mieli rzekomo miotać się zrozpaczeni poeci i, nie mogąc wybrać, rzucali się na osłep w katastroficzną eschatologię. Wydaje mi się, że młoda poezja Polska wkroczyłaby, gdyby nie wojna, w okres płodnego uspokojenia i dojrzałości. Ale czy wolno snuć takie przypuszczenia, skoro wszyscy czuliśmy - niektórzy wiedzieli poza wszelką wątpliwością - że nadejście katastrofy jest nieodwołalne? Świadomość tym bardziej tragiczna, że niejednen z nas dostrzegał budzące radość zmiany w życiu społeczeństwa, często niezależne od prowadzącej góry, a nieraz nawet sprzeczne z jej nastawieniem. Żaden socjolog nie wziął jeszcze na warsztat owych ostatnich lat 1938-39. Zanim zaczęły kiełkować, już spadł na nie huragan ognia i żelaza. Dotyczy to również ówczesnej młodej poezji. Czytelnik zechce zważyć, że w fatalnym wrześniu 1939 roku tylko nieliczni z pokolenia „katastrofistów” przekroczyli granicę trzydziestu lat. Dla wielu przekroczenie tej granicy zakończyło wszelkie rozrachunki z życiem doczesnym.

Postscriptum bardziej osobiste

Jeszcze kilka słów na własny temat. Trudno, gdy inni fałszują czyjąś biografię, zainteresowanemu wolno protestować i prostować. Lata płyną, przyjdzie dzień, gdy będzie już po niewczasie. Coraz to cytowałem w tych wspomnieniach „Cyganerię” Mrozowskiego, w której o mieszkańcach „wspólnego pokoju” najwięcej. Ja sam występuję w niej w kilkudziesięciu miejscach, przy czym swoistemu przedstawieniu okoliczności mego zerwania z komunizmem autor poświęcił całe sześć stron.

Nazwałem „Cyganerię” książką nieuczciwą i paszkwilancką - trzeba to udowodnić. Jest niechlujna w szczegółach, Mrozowski nawet nie zadał sobie trudu skonfrontowania dat i sprawdzenia nazwisk. Tak np. na stronie 26 Witoldowi Chomiczowi przerabia imię na Paweł, zaś na stronie 221 podaje, że „Gospodę pod złotą kaczką na Królewskiej prowadziła pani Tomaszowa Arciszewska”. Oczywiście, żona wybitnego działacza socjalistycznego nie miała nic wspólnego ze „Złotą kaczką”; chodzi o panią Zofię, zamężną za pułkownikiem, Franciszkiem Adamem Arciszewskim. Od takich niedokładności w „Cyganerii” aż się roi.

Zalóżmy, że nie było w tym złej woli - zwykle niechlujstwo⁸. Niemniej, jeśli chodzi o mnie, Mrozowski zmyśla z całą świadomością. I przy tej okazji tak zaplątał się w faktach i datach, że zapewne już sam nie potrafiłby połapać się w swoich łgarstwach. Chodzi mi głównie o wydarzenia pierwszych trzech miesięcy roku 1934, o zasadniczym znaczeniu dla moich dalszych losów. Mrozowski wypisał na ten temat całą sheherezadę.

W styczniu przewieziono mnie z Równego do wojskowego szpitala okręgowego w Chełmie. W szpitalu równieńskim nie było Roentgena i chirurg nie mógł stwierdzić, gdzie utkwiała kula.

8 Równie niechlujny jest w swoich wspomnieniach literackich z tychże lat Jerzy Putrament, *Pół wieku*, Tom I.

Okazało się, że ześliznęła się wzdłuż żeber i zatrzymała się w przeponie brzusznej. Po kilku dniach odwiedził mnie redaktor chełmskiej „Kameny”, K.A. Jaworski, który nieco później spowodował wizytę Mrozowskiego.

„Pogoda była piękna - opowiada nasz bajkopisarz - wyszliśmy więc do ogrodu szpitalnego... Wiosna chełmska była w pełni...” Istotnie! Stał trzaskający mróz, ogród zavalony śniegiem, zaś Łobodowski przez pierwszy tydzień w ogóle nie był w stanie poruszyć się, cóż dopiero chadzać na spacer. Ale to jeszcze głupstwo. Z dalszej lektury okazuje się, że Mrozowski wizytę z końca stycznia 1934 roku przeniósł na maj 1933. I znowu spróbuję być wyrozumiałym. Mogły mu pomylić się daty, bądź co bądź tyle już lat upłynęło od tego czasu. Może to nieświadome przekręcenie...

Ba! O kilka stron dalej Mrozowski z całą powagą opisuje jak wkrótce potem, tejże wiosny, zjawił się w Warszawie, gdzie spotkał się z Czechowiczem i Domińskim. „Teraz dopiero - zmyśla nasz filut - przypomniałem sobie, że nie powiedziałem o wypadku Łobodowskiego. Byli przekonani, że żartuję, choć mówiłem serio. Później byli bardzo przejęci. Pytali o szczegóły, których, niestety, nie znałem. Do dziś zresztą nikt ich dokładnie nie zna. Domiński zaczął dowcipkować na temat niedoszłego samobójcy...”

Tu już nie może być mowy o zawodnej pamięci, ani przypadkowej pomyłce, tu mamy do czynienia z beczelnym łgarstwem. Czechowicz i Domiński nie żyją, Łobodowski siedzi w Madrycie, prostować na miejscu nie jest w stanie. A jakże było naprawdę?

W drugiej połowie lutego, niby już wykurowany, ale jeszcze poruszający się z pewnym trudem (kula pozostała w przeponie i dolegała), wróciłem do podchorążówki, gdzie zastałem wiadomość, że jestem przeniesiony do kompanii 45 P.S.K. Dzięki przychylnemu stosunkowi dowódcy kompanii otrzymałem dwutygodniowy urlop zdrowotny, co zbiegło się z zaproszeniem do wzięcia udziału we wspomnianym już wieczorze poetyckim, „Najazd awangardy na Warszawę”. Popołudniu tegoż dnia, gdy miało odmeldować się u sierżanta-szefa, przyszedł rozkaz osadzenia mnie w więzieniu, a po czterdziestu ośmiu godzinach, już w Lublinie, zapoznałem się z aktem oskarżenia. Przy uprzedniej rewizji znaleziono w szafce sporo rękopisów, na podstawie których uznano, że uprawiałem w podchorążówce propagandę antypaństwową. Ano, pięknie!

W wieczorze, rzecz prosta, osobistego udziału nie wzięłem, ale odczytano parę moich wierszy, w tym „Piłsudskiego”. Wśród słuchaczy już rozeszła się wiadomość o moim uwięzieniu. Z miejsca zainteresowała się całą sprawą obecna na sali Kazimiera Iłakowiczówna i nazajutrz zaczęła działać. Niezawodna Iłła-Ałła zaagitowała Ignacego Matuszewskiego, ówczesnego redaktora „Gazety Polskiej”, uderzyła do wyższych wojskowych. Czechowicz ze swojej strony również poruszył różne sprężyny. Poszły interwencje i naciski do Lublina. Dowódcą O.K. był wtedy generał Dobrodzicki. Nie bardzo wiedział co z tym fantem począć, aż ktoś z jego otoczenia wpadł na szczęśliwy pomysł, żeby sprawdzić, czy akt oskarżenia został już mi wręczony, bo jeżeli nie, wyjście znajdzie się bez trudu.

Istotnie, prokurator oskarżenia jeszcze nie wygotował: wertowanie wierszy zabrało mu zbyt dużo czasu. Dobrodzicki podpisał rozkaz, usuwający mnie z wojska na okres pięcioletni, bo tyle wynosiły zawieszenia różnych wyroków, po czym sprawę przekazano sądowi cywilnemu, a mnie zwolniono z więzienia. W parę miesięcy później sędzia śledczy w Łucku sprawę umorzył. Podpis Dobrodzickiego, złożony pod tym rozkazem, był bodaj ostatnim w jego życiu: generał zmarł w niewiele dni po opisanych wypadkach.

Jeszcze w więzieniu otrzymałem parę listów od Czechowicza, informujących o przebiegu starań. W kwietniu na święta Wielkiejnocy zebrała się prawie cała dawna paczka lubelska: Czechowicz, Domiński, Miklaszewski, Wójcik, Madej i ja, a po tygodniu już byłem w Warszawie. A tu Mrozowski opowiada, że nikt o niczym nie wiedział, że to dopiero on poinformował wszystkich o moich przypadkach! I to w maju, gdy już było dawno po całej sprawie, wcale głośniejszy w środowisku nie tylko literackim.

Podobnych zmyślań nie oszczędził Mrozowski innym, opisywanym przez niego pisarzom. Ciekawe - „Cyganeria” wyszła w dość wysokim, jak na stosunki polskie, bo dziesięcioletnim nakładzie. Obracające się w kręgu tych samych spraw i zagadnień wspomnienia Piętaka i „Ballady przed burzą” Szymańskiego otrzymały tylko po t r z y tysiące. Książki te potraktowane więc zostały przez wydawców w sposób wręcz odwrotny do ich wartości dokumentarnej i literackiej.

I nie bez kozery. Z kart „Cyganerii” wyłania się rozpaczliwy obraz młodego środowiska literackiego tamtych lat. Nędza, pluskwy, pijaństwo, awantury, brak stałej pracy zarobkowej, represje polityczne. Widzicie - w takich strasznych warunkach musieli żyć i pracować młodzi pisarze w Polsce kapitalistycznej! A do tego autor starannie opluł Łobodowskiego, więc zasłużył na wysoki nakład. Na takie zbożne cele papieru nie brakuje!

Nie roszczę sobie pretensji do wyczerpania materiału przedstawionego w „Cyganach i katastrofistach”. Sądzę przecież, że dorzuciłem sporo istotnych informacji i że w jakimś stopniu udało mi się oddać atmosferę środowiska. Nie mogłem unikać tu i ówdzie tonu polemicznego, gdyż należało prostować błędy i pomyłki, zarówno merytoryczne, jak interpretacyjne, a znalazłem ich w cytowanych książkach i artykułach niemało.

Być może, i ja sam popełniłem jakieś drobne błędy, starałem się jednak pisać tylko o tych sprawach, które dobrze zapamiętałem. Gdy nie byłem czegoś pewny, unikałem wypowiedzi kategorycznych. Mogą się te wspomnienia okazać pożyteczne i dla czytelnika krajowego. „Kultura” wprawdzie nie ma debitu, ale mimo wszystko do Polski dociera. Miałem na to dowód bardzo niedawno, gdy autor artykułu o Czechowiczu, wydrukowanego na łamach pisma komunistycznego w dwudziestopięcioletniej śmierci, uwzględnił jedną z moich poprawek („Kultura” Nr 7/201-8/202). Naturalnie, źródła wołał nie podawać, ale dobre i to.